



Teraz więc już wiem, jak to ma wyglądać. W zasadzie dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy Vicky żyła. Wtedy też żądała, abym całą swoją uwagę skupiała na niej. Nic się nie zmieniło.

Ludzie nie od razu łapiają, w czym rzecz. Zwłaszcza Grubas Sam. Czeka na mnie po lekcjach, próbuje siadać koło mnie podczas lunchu, chce mnie odprowadzać do domu po szkole.

— Pozbądź się tego ciamajdy! — rozkazuje Vicky.

— Przepraszam cię, Sam — mówię. Vicky marszczy czoło z wściekłością. Biorę głęboki oddech. — Sorry, Grubasie. Chcę wracać do domu sama.

Wytrzeszcza na mnie oczy. Okropnie się czuję, widząc wyraz jego twarzy. Omijam go wzrokiem i spoglądam na kwiaty Vicky. Jest ich już tak dużo, że zapychają studzienki kanalizacyjne i odprowa-

dzenia wody, więc ilekroć pada deszcz, robi się niewielka powódź. Ktoś zaczął sprzątać stare, przegniłe bukiety, ale wybuchły gwałtowne protesty. Ludzie potulnie przechodzą na drugą stronę ulicy, aby kwiaty Vicky pozostały nietknięte. Tylko ona teraz tam chodzi, na palcach spaceruje po swoich tulipanach, tańczy na stokrotkach, skacze po różach. Czasami przystaje, by przeczytać jakiś list, popatrzyć na zdjęcia, schyla się, by dotknąć misia. Widzę, jak płacze, rozpaczając po samej sobie. Kiedy indziej kroczy dumnie i liczy złożone sobie dowody pamięci, piejąc z zachwytu, że jest najbardziej opłakiwaną dziewczynką w całym mieście, ba, w całym kraju. W lokalnej telewizji poświęcili jej jednodominutowy program, który tato nagrał dla mnie na wideo. Ilekroć go oglądam, Vicky mi towarzyszy, podziwiając samą siebie. Czasem jednak jest w podłym nastroju, a wtedy rozkopuje kwiaty, szura w nich nogami i depcze je jak opadłe jesienne liście, czytając na głos: „Vicky, zawsze będę o tobie marzyć” głupim, płaczliwym głosem.

— Marz sobie do woli, złotko. Gdybym żyła, nawet bym na ciebie nie spojrzała.

Teraz też jest w takim właśnie nastroju. Okłada Grubasa Sama nieistniejącymi misiami i przezroczystymi różami. Obrzuca go wyzwiskami, doskakując do niego i odskakując.

— Na co tak patrzysz? — pyta Grubas.

— Na ciebie!

— Nie. Patrzysz, jakbyś... Czy wciąż jeszcze udajesz, że Vicky tu jest?

— Nie!

— Wynoś się! Za kogo się ta kreatura uważa? Wścibska, głupia, trzęsąca się galareta. Powiedz mu to. Powiedz! — nalega Vicky.

Mówię więc i uciekam, choć czuję się podle.

— Dlaczego jesteś dla niego taka wredna, Vic? — pytam, gdy jesteśmy już prawie w domu. — On cię lubi. Dlatego ciągle się za mną włóczy. Chce mi pomóc. Zachowuje się, jakby rozumiał.

— Kogo to obchodzi? — prycha Vicky. — Słowo daję. Co jest między tobą i Grubasem? Wpadł ci w oko, tak?

— Nie bądź głupia!

— To nie ja robię cielęce oczy i nie mnie odbija, kiedy ta świnka pochrząkuje na mój widok.

— Przestań! Nie mów tak o nim. Dlaczego jesteś taka zła?

— Dlaczego? A co, mam się niby cieszyć, że umarłam, tak?

— OK, OK, tylko nie pozbywaj się włosów. — Patrzę na nią pewna, że zaraz wystrzeli wszystkie swoje włosy w kosmos, ona jednak nagle opada i wspiera się na mnie.

— Przepraszam cię, Jade. Nie chcę być taka. Po prostu czasem coś takiego mnie najdzie. Zwłaszcza kiedy ty sobie z kimś gadasz, a ja nie mam do kogo otworzyć ust.

— Ze mną zawsze możesz rozmawiać. Już dobrze, Vicky. — Obejmuję ją ramieniem, na tyle, na ile to możliwe. — Nie chcę rozmawiać z nikim innym. Tylko z tobą.

Grubas Sam chyba w końcu załapał, o co chodzi. Już nie łązi za mną po szkole ani nie czeka na mnie po lekcjach. Widząc, że nadchodzę, szybko rusza w przeciwnym kierunku. To znaczy tak szybko, jak powłóczący wiecznie nogami Sam potrafi.

Ale jest jeszcze piątkowy Klub Biegania dla Przyjemności. Sam do niego należy i ja też, a pan Lorrimer oczekuje, że będziemy biegać razem. Sam udaje, że ma jakieś problemy z adidasami, i zwleka, po czym idzie dwadzieścia kroków za mną, chociaż pan Lorrimer nie przestaje go ponaglać, żeby się ze mną zrównał. Zaczynam biec i Sam też biegnie, ale z tyłu, chociaż musi przebierać nogami w miejscu, kiedy ja zatrzymuję się, bo chwyciła mnie kolka.

— Hej, Jade, co jest z tobą i z Samem? — pyta pan Lorrimer.

— Nic — odpowiadam, trzymając się za bok.

— Pochyl się. Kolka zaraz ci przejdzie. Co to znaczy: nic? Mnie nie oszukasz. Pokłóciliście się?

— Skąd! On nie ma ze mną nic wspólnego, proszę pana. To tylko Grubas Sam.

Vicky wiwatuje.

Pan Lorrimer marszczy czoło.

— Przestań, Jade, daj chłopakowi spokój. Nie sądziłem, że ty też lubisz przezywać ludzi.

Czuję się okropnie. Obchodzi mnie, co pan Lorrimer o mnie myśli, podobnie jak Sam. Ale Vicky obchodzi mnie bardziej.

Zaczynam biec, chociaż kolka jeszcze mi nie przeszła. Pan Lorrimer biegnie obok. Zwalniam. On także. Nie ma szans, żebym go prześcignęła. Jak mam się go pozbyć?

— Jak myślisz, dlaczego Sam zapisał się do klubu?

— Nie wiem — odpowiadam, sapiąc.

Bo chce schudnąć? Nabrać tężyzny?

— Bo chciał dotrzymywać ci towarzystwa. Zobaczył twoje nazwisko na liście. Wiedział, że będzie ci ciężko bez Vicky.

— Och, serce mi krwawi — przerywa mu niegrzecznie Vicky. — Błażagam! Tylko nie wymiękaj, Jade. Nie będziesz się zadawać z Grubasem.

Nie zadaję się. Sam został daleko z tyłu. Pan Lorrimer rezygnuje i wyprzedza mnie. Biegnę. Idę. Biegnę. Idę. Vicky frunie i robi gwiazdę, frunie i robi gwiazdę. Świetnie się bawi. Chcę bawić się z nią. Przecież to z jej powodu uprawiam to głupie bieganie. Ale dzisiaj nie jest tak fajnie, jak w ubiegłym tygodniu. Jest nudno.

— Jak możesz się nudzić, skoro jesteś ze mną? — pyta Vicky z oburzeniem.

Teraz nie odstępuję mnie ani na chwilę. Jest obok cały czas. Pcha się na mnie podczas lekcji i nie pozwala mi słuchać. Kiedy próbuję coś pisać, wrywa mi pióro.

— Odpuść sobie, smutny kujonie! Jest OK. Nikt nie oczekuje, że będziesz się uczyć. Przecież wciąż jeszcze mnie oplakujesz, no nie?

Zaczyna mnie denerwować. Ilekroć któryś z nauczycieli podchodzi, by ze mną porozmawiać, zachowuje się po prostu skandalicznie. Muszę pochylać głowę i zasłaniać się włosami, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

Czasem chce mi się płakać. Madeleine jest dla mnie taka miła, zwłaszcza teraz, kiedy Sam trzyma się z daleka. Zauważyła, że nie odrabiam zadań, zaproponowała mi więc, żebym odpisywała od niej. W czasie przerwy przełamuje swojego Kit Kata na pół i chce się ze mną podzielić.

— Nie, Maddy, dziękuję. Zjedz sama — bronię się, ale ona nie chce o tym słyszeć.

— W ogóle nie powinnam jeść czekolady — mówi i klepie się po swoim tłustym brzuchu. — Wszystko bym oddała, żeby wyglądać tak, jak ty, Jade.

Chyba jej odbiło. Nienawidzę swoich kościstych nadgarstków, sterczących łokci i chudych kolan. Okropnie mnie krępuje to, że jestem płaska jak deska i nie mam wcale bioder.

— To prawda, niezbyt pięknie wyglądasz — szydzi Vicky. — Ale i tak o niebo lepiej niż ta różowa klucha. Po co się zadajesz z tymi wszystkimi tłuszciochami? Spław ją!

— Nie wiem jak — odpowiadam bez zastanowienia.

Madeleine wytrzeszcza na mnie oczy.

— Cóż, chyba powinnam przejść na dietę, no nie? W sobotę siostra przyniosła mi świetne spodnie, ale naprawdę są trochę za ciasne. Mogą być, kiedy wciągnę brzuch. Hej, a może byś wpadła dzisiaj i powiedziała mi, co o nich myślisz, co, Jade?

— Powiedz jej, że z takim tyłkiem w ogóle nie powinna nosić żadnych spodni! — krzyczy Vicky.

— Nie gniewaj się, Maddy, nie mogę.

— A jutro po szkole?

— Nie, muszę wracać prosto do domu.

— No to może w sobotę? Wybieramy się z Jenny i Vicky-Dwa na basen. Chcesz pójść z nami?

Myślę o turkusowej wodzie i o tym, jak fajnie byłoby w niej popływać. Pomysł tak mi się podoba, że bez namysłu kiwam głową na zgodę. Ale Vicky do tego nie dopuści.

— Nie pójdziesz z tą bandą na żaden basen! Co się z tobą dzieje?

Dobrze wiem co.

— To znaczy, że pójdziesz? — uśmiecha się radośnie Madeleine.

— Nie. Nie, nie mogę. Sorry, ale muszę lecieć. Proszę cię, Maddy, nie proś mnie więcej. Nie mogę.

— Chciałam się tylko z tobą zaprzyjaźnić!

— Wiem. Ale... ale... ja nie mogę się z tobą kolegować — mówię i odpycham ją.

Ależ się wrednie czuję. Najgorzej jest następnego dnia na przerwie. Madeleine odwraca się do

mnie plecami i sama zjada swój batonik. Chcę się jakoś wytłumaczyć, ale zanim zdążę cokolwiek zrobić, podchodzi do Jenny i Vicky-Dwa i razem idą się uczesać.

Nieopodal kręci się Grubas Sam, kiedy jednak spoglądam w jego stronę, wsadza nos w najnowszą książkę Terry'ego Pratchetta i całkowicie pogrąża się w „Świecie Dysku”.

— Chyba nie jesteś zawiedziona? — pyta Vicky, trącając mnie, chociaż jej ręka przenika przeze mnie jak cień. — Weź się w garść, Jade!

Mam wrażenie, że w garści ma mnie Vicky, choć jej ręce są pozbawione siły. Wchodzę do budynku i chowam się w ubikacji. Chcę się ukryć przed Vicky, ale ona mnie nie odstępuje.

— Vicky! Zaczekaj na zewnątrz! — Próbuję ją wypchnąć.

— Mnie nie możesz wypchnąć — mówi Vicky.

Zatrząskuję przed nią drzwi, ona jednak przenika przez nie i prawie siada mi na kolanach.

— Nie możesz się odczepić ani na chwilę?

— Uważaj. Bo się odczepię na dobre.

— Dlaczego zawsze musisz być taka trudna?

Nie pamiętam, czy za życia też taka była. Zawsze musiała postawić na swoim, ale dało się nad nią zapanować. Świetnie się razem bawiłyśmy, zawsze była kupa śmiechu...

— O tak, można się zdrowo uśmieć, kiedy jest się martwym — mówi Vicky.

— Przestań czytać w moich myślach!

— A ty przestań czytać w moich!

— Chciałabym, żebyś się uspokoiła. Jesteś taka wściekła na wszystkich. Nawet na mnie.

— Bo to nie fair! Ty żyjesz, a ja umarłam. Dlaczego ma być właśnie tak? — Przechodzi przeze mnie tam i z powrotem, aż wstrząsa mną dreszcz. W jednej przerażającej chwili zdaje się, że wnika do mojego mózgu, zabierając z niego wszystkie myśli.

— Przestań. Nienawidzę, kiedy tak robisz.

— Tobie to dobrze. Tkwisz sobie bezpiecznie we własnym ciele. A ja nienawidzę tak dryfować.

— A kiedy cię tu nie było? No wiesz, po pogrzebie? Dokąd wtedy podryfowałaś?

— Trochę byłam z mamą i tatą. A potem... — Vicky jest dziwnie zakłopotana. — Skoro już musisz wiedzieć, próbowałam... — Macha ręką w powietrzu.

— Wznieść się do góry?

— Gadasz, jakbym wsiadła do windy. Tak, poleciałam w górę.

— I jak było?

— W sumie nie dotarłam donikąd. Po prostu unosiłam się w nicości. Zaczęłam się czuć, jakbym przestała być sobą.

— Tak chyba ma być?

— Skąd mam wiedzieć? Nie mam o tym zielonego pojęcia. Przecież nigdy nawet nie chodziłam do kościoła ani nic z tych rzeczy. Może jeśli chce

się iść do nieba, trzeba o nim coś wiedzieć. Może ty spróbujesz zdobyć dla mnie jakieś informacje, Jade?

— Jak? Przecież nie ma czegoś takiego jak „Przewodnik po niebie”.

— Nawet nie wiem, czy jest niebo. Ludzie wierzą w różne rzeczy. A anioły? Chodź, poszukamy o nich w Internecie.

Posłusznie dają się jej zaciągnąć do biblioteki. Staram się jak mogę znaleźć coś o aniołach. W sieci jest pełno linków, ale wszystko to tylko jakieś pomyłone opowieści o aniołach pojawiających się w najmniej oczekiwanych miejscach, takich jak pralnie, w których pomagają starszym paniom załadować pranie, albo spadających nie wiadomo skąd na dachy piętrowych parkingów, by uratować potencjalnych samobójców.

— Tym się mam zajmować po śmierci? — pyta Vicky. — Pomagać staruszkom prać majtki i ratować świrów? Niezbyt atrakcyjne zajęcie.

Szukam więc czegoś bardziej wyrafinowanego na temat aniołów. Muszę sięgnąć do historii. Znajduję coś dziwnego o kimś, kto nazywał się Enoch i na własne oczy ujrzał w niebie trzysta aniołów.

— Co robiły? — pyta Vicky, zerkając mi zza pleców.

— Śpiewały.

— I?

— Nic. Tylko śpiewały. Słodkimi, przejmującymi głosami.

— Matko, co za nuda — wzdycha Vicky. — Dobra, potrenuję trochę.

Odrzuca w tył głowę i wydziera się, prezentując własną wersję anielskich chórów.

— Alleluja! Alleluja! Alleluja! Co za głupie słowa. Alleluja!

— Cii. Przymknij się, Vicky!

Ludzie się gapią. No tak, ale nie mogą jej usłyszeć. Słyszą natomiast mnie.

Dwaj siódmoklasiści szukający czegoś w dziale biologicznym trącają się i palcami rysują znaczące kółka na czołach. Kilka osób z jedenastej klasy patrzy z zatroskanymi minami. Pani Cambridge też zerka znad kontuaru, starając się zobaczyć, w czym rzecz.

— Ty świrze! — złości się Vicky. — Jesteś czerwona jak burak.

Próbuję nie zwracać na nią uwagi i wpatruję się w ekran monitora. Widnieje na nim grupa łagodnie uśmiechniętych aniołów ze złotymi aureolami i białymi skrzydłami, złożonymi porządnie, aby im się nie poplątały, i stopami wystającymi spod wykończonych złotem szat.

— Anioły, Jade?

O Boże! Pani Cambridge stoi za mną.

— Piszę pracę — bełkoczę.

Pani Cambridge milczy.

— Jade, czy chodzisz na terapię?

— Słucham?

— Terapię dla pogrążonych w żałobie?

Potrząsam głową. Nawet nie wiem, o czym ona mówi.

— Uważam, że to dobry pomysł. Chyba powinniśmy byli zaproponować ci to wcześniej. Czy chcesz, żebyśmy porozmawiała z twoimi rodzicami?

Zagryzam wargę. Wiem, co mama i tato sądzą o terapiach.

— Pomyślałam, że mam kłopoty w szkole.

— Nie, nie, skądże, przecież nie masz żadnych kłopotów. Chcemy ci tylko pomóc. — Pani Cambridge nachyliła się, by jej głowa znalazła się na równi z moją. — Może ja mogłabym ci jakoś pomóc, Jade? Wiem, że jest ci ciężko, w końcu teraz musisz żyć jak dawniej, ale już bez Vicky.

Nie mogę jej przecież powiedzieć, że wciąż robię wszystko wspólnie z Vicky. Na pewno pomyślałaby, że kompletnie zwariowałam. Spogląda z niepokojem na grupkę aniołów widoczną na ekranie.

— Sądzisz, że Vicky poszła do nieba? — pyta, rumieniąc się.

— Nie, proszę pani.

— Doprawdy trudno sobie wyobrazić Vicky pod postacią anioła — mówi z uśmiechem.

— Bezczelna! — krzyczy Vicky ponad jej ramieniem.

Nie będę na nią patrzeć. Skupię się na tym, co mówi pani Cambridge. Najwyraźniej zamierza dalej drażnić temat terapii.

— Nic mi nie jest, proszę pani, naprawdę — twierdzą z uporem.